

Ja, Lucjan Krysiwicz, urodzony 8 sierpnia 1901r. w Waniewie, tamże uczęszczałem do szkoły. Skończyłem tę szkołę wczesnie, bo się uczyłem, dużo czytałem wcześniej, rodzice moi mieli dużo pism, gazet. Ja to czytałem, uczyłem się dobrze w szkole, prędko przechodziłem z klasy do klasy, no i byłem, jak to się mówi, uzdolnionym uczniem. Później oni koniecznie, szczególnie matula, chcieli abym był duchownym; w owym czasie chcąc kształcić się na duchownego, trzeba było mieć znaczne fundusze. Tego nie było, więc ja, choć zdałem egzamin, do gimnazjum nie uczęszczałem. Ponieważ miałem, jak to się mówi, zdolności, ojciec mnie dał do Urzędu Gminnego. Gmina Kowalewsczyzna była, Urząd Gminy we wsi Jeńki. Za takiego młodszego pomocnika sekretarza gminnego tam byłem do 20 roku.

Więc w 20-tym powołano mnie do wojska. Służyłem w 45pp we Włodzimierzu Wołyńskim. Stamtąd mieliśmy iść na Kijów, na tę wyprawę. Tylko, jako byłem pisarzem, przedtem w pułkowej, potem w batalionowej kancelarii, więc z karabinem nie walczyłem. Pamiętam jak przejeżdżał tamtędy pod Kijów marszałek Piłsudski. Tam go pierwszy i ostatni raz widziałem. Potem ojciec mój zachorował i napisał do władz wojskowych podanie. Ja byłem jedynym synem, taka była ustawa i mnie, jako jedynego żywiciela, zwolnili z armii. Powróciłem tak, że w wojsku byłem 6 miesięcy. Powróciłem do domu akurat wtedy, kiedy wojska rosyjskie zajęli tę naszą miejscowość. Ale nie aresztowali mnie. Byłem wtedy jeszcze w mundurze wojskowym, bo tylko powróciłem z armii, ale nie aresztowali mnie i tak pozostałem. Tak.

Po wyzwoleniu, oczywiście, znów wstąpiłem. Pracowałem jako pisarz kancelarii w Urzędzie Gminy. Tak szło, aż mnie, jako takiego długoletniego pisarza, wybrano wójtem. Byłem wójtem w tej gminie przez 2 kadencje po 3 lata i na trzecią kadencję, na 5 lat miała być. To było 39 roku. Ostatnio mnie wybrali na wójta tak, to byłem rok niecały. Potem nastąpił moment mojego aresztowania.

W 1939r. kiedy Niemcy zajęli Polskę sprawowałem przy Niemcach swój urząd. Dopiero jak wojska sowieckie zajęli tę część... W naszej wsi był jeden sąsiad, który w Rosji był w czasie rewolucji. I ten powitał sowieckie wojska chlebem i solą i powiedział: "Zdrowstwuście" i "My was ożydali". Wtedy jego zapytali: "A co ty ~~z~~ty tu zrobił? Założył partię? Masz swoich zwolenników??" A on powiedział: "Ja chciałem i starałem się, ale tu jest przeciwnik" i wskazał mnie jako przeciwnika. Ja byłem nadal tym wójtem parę dni po tym powitaniu. ~~K~~Ż kiedyś przyszli do mnie i powiedzieli, że jestem zwolniony i powołują na urząd wójta kogo innego, i że trzeba zdać. Zdałem ~~prok~~tokularnie drugiemu, wyznaczonemu przez władzę sowiecką: kasę i akta, i księgi ludności, i majątek gminy, wszystko w porządku. I po dziś dzień mam ten protokół. Zdawało się - w porządku. Jeszcze zdałem prawnie posiadany rewolwer, wróciłem do domu. Nazajutrz niespodzianie przyjechali w nocy. Wezwali - ja mam na przesłuchanie iść. Ja, lekko ubrany, poszedłem na przesłuchanie. "Gdzie mam iść - pytam się. - "Przesłuchanie w szkole". Szkoła oddalona o jakieś 300m od mego domu. Poszedłem ja tam. Po drodze, w pół drogi do szkoły, zabłysło światło. Okazuje się - samochód. Wtedy ci, co przyjechali na przesłuchanie - rewolwer w rękę, tak, - "Wsiadaj do samochodu". We wnętrzu samochodu byli przywiezione z drugiej gminy, z Kobylina-Borzymoch, trzech aresztowanych tak, jak ja. Bez pożegnania z domem, z żoną, bo nie wiedziałem... Na przesłuchanie trzeba było pójść... I zabrali, i powieźli mnie prosto do Tykocina w nocy. Tam mnie wsadzili do jakiejś budy razem z tamtymi. Tam przenocowałem. Było brudno, zanieczyszczone jakby ustęp jakiś. Nad ranem 7 listopada, w ich "oktiabrskie święto", powieźli mnie. Przejeżdżałem z Tykocina przez swoje gminy, parę wiosek. Wszystkie ludzie, co mnie zobaczyli, tak krzyczeli: "Co



robicie", ale wywieźli. Przywieźli mnie do Sokół, wsadzili mnie w budynku gminnym, w takim areszcie. Dowiedziała się o tym moja żonka i przyjechała. Do tych Sokół było ode mnie 10 km. Ale nie dali mnie się z nią zobaczyć. Widziałem tylko, że prosił do ustępu i kiedy wyszedłem z ustępu, ona stała z boku niedopuszczona blisko. Ja, po załatwieniu się niby, wracałem przy niej. Nazajutrz powieźli mnie do Białegostoku do więzienia. W więzieniu byłem, już nie przypominam, ale chyba do połowy 40 roku. W Białymstoku stale brali mnie na przesłuchanie. Przychodzili i wywoływali w nocy, przeważnie w nocy, na przesłuchanie. Było w sali więziennej 18, dawniej 18 łóżek dla tych więźniów, a potem to wszystko wyjęli i było nas 110 ludzi w tym miejscu, w tej sali, spali jeden na drugim. Gdy się chciało odwrócić na bok, to już musiało się obudzić drugiego. Tu się załatwiali w beczkę, tak, że było coś okropnego: smród, zaduch, nigdzie wyjrzeć nie można było, a coraz napędzali i napędzali. I taka była groza, na noc przypędzili oficerów, których po paru rozstrzelali. W Białymstoku rozstrzelali, bo ich zdradziła. Oni, była tak zwana przeciwna organizacja, polegała na tym, żeby każdy pięć osób sobie zjednał, tamta piątka też pięć... I zjednali chętnych, między nimi jedną dziewczynę, która okazała się być zdradziecką i wydała to wojsko sowieckim. Wskutek tego aresztowali m.in. tych oficerów. Ja się o tym dowiedziałem, bo jednego z tych oficerów wsadzili do mojej tej celi i on się ze mną zapoznał i się zwierzał. Był młody, przystojny mężczyzna, nie pamiętam jego nazwiska, ale bardzo miły człowiek. Właśnie on to mówił. Na drugi, raczej na trzeci dzień potem ich rozstrzelali... Mnie badali. W celi tej naszej miałem jako przyjaciela znajomego mnie kpt. Borowskiego. Kpt. Borowski był w straży granicznej, ale przyjeżdżał, był w Łapach. W Łapach jego żonka mieszkała i rodzina, i właśnie ja jego poznałem, jeszcze przed przycięciem wojsk sowieckich. A teraz spotkałem go właśnie w tej

celi więziennej kapitana. Jego aresztowali, opowiadał, że on uciekł z konieczności, jak szła armia sowiecka na Litwę. Ale jak zajęła, to na Litwie powiedzieli jemu: "Wracaj, już się skończyło, mieszkasz w łapach, po co masz żyć w tym kraju, wracaj do rodziny". On powrócił do rodziny akurat w dzień Wigilii Bożego Narodzenia. Taka jemu przyjemna była ta Wigilia, była żona i rodzina... Naraz przychodzi żołnierz: "Borowski na przesłuchanie". Musiał opuścić dom. Nie podzielił się nawet płaćkiem i opuścił dom. Pomimo, że, jak go zabierali, wojskowy zapewnił, że on zaraz wróci, on już nie wrócił nigdy. Zabrali go właśnie w to więzienie. Nie wiem, kiedy jego zabrali, ale ja jeszcze byłem w więzieniu. Kapitana Borowskiego zabrali, wywieźli, dokładnej daty nie pamiętam.

Tam chorowałem w tej celi, a byli tam i warunki straszne, głodno, nie było co jeść. Najgorsze te zeznania, zeznania. Na jedną noc 3-4 razy. Wrócisz z tego zeznania i znów wołają, że: "Proszę na wopros". A tam każą usiąść, ręce opuścić na dół i zeznawać. Kiedy tłumaczyłem, że ja nic nie wiem i niczego nie zrobiłem, nie wiem, za co mnie wzięto, powiada: "U nas niewinowatych niet, tak ty protiow Sowietskemu Sojuzu, protiow Komunie". Zapewniałem, że ja nie występowałem i "niczego mi nie udowodnicie". 28 nocy tak badany byłem i, coś okropnego, bo i strach był, ja już załamywałem się, że już, że tego. Pewien raz tak był, że wszedłem i tak do tego przesłuchania przyprowadzili mnie do tego sędziego, ~~wp~~ no ja się cofnął i od razu siadł, a on mówi: "Budziesz goworił prawdu ili niet?" Ja mówię: "Zawsze prawdę powiem, ale nie jestem winien". On mnie wzięł za kark i do ściany oczami zwrócony pchnął mnie. W duchu modliłem się do Boga, że już koniec. Naraz strzał w okolicy mojej głowy... Myślałem: "Nie popadł mnie, czy co..." Kazał usiąść sędzia. Sędzia był Żyd, ten co mnie badał był Żyd, nie pamiętam jego nazwiska. Żydowskiego pochodzenia był do pewnego stopnia, bo czasem przystępował



i ruski, ale czasem Żyd. To jeszcze ten Żyd był bardziej ludzki. W końcu tego śledztwa, to, aby mnie podciągnąć pod to, kładł rewolwer na stole, ja z drugiej strony stołu jestem, i podpierał się rękoma pod głowę i udawał jakby śpiącego. Po 3-4 razy w czasie nocy mnie przyciągali. Tylko wyszedł z tego zeznania - za chwilę znowu przychodzi: "Na wapros. Krysiewicz - dawaj na wapros". Tak mnie to wymęczyło... Pewnej nocy tak kładł rewolwer, to przecież mógłbym ten rewolwer złapać i palnąć mu w łeb, bo już wszystko jedno... Ale ja tego nie... Pewnego razu wchodzi na dochodzenie wysoki mężczyzna, wojskowy w randze pułkownika, na jedno oko niewidoczny, pocięty na twarzy. Mój ten sędzia na nogi się zerwał, stanął. A ja, ręce na kolanach, siedział. On mówi: "Stań". Wtedy wstałem. "Poczemu nie wstajesz, to pułkownik!" Ja powiedziałem: "Ja rangi nie znam, ja znam wstać. Przykazano mi siedzieć - ja siedzę, wstać - wstał. Ja pod waszymi rozkazami", Pułkownik był złowrogi człowiek. Pyta się: "Kak on ciebie wiodot w śledztwie?" A sędzia: "Bardzo nie można z niego niczego dobyć, o!" Nie wiem, co jemu powiedziałem, ale po jego wyjściu przyszedł żołnierz i zabrał mnie do karceru. Karcer był pomieszczony przy ostatniej stronie więzienia. W drzwiach, jak zwykle, małe okienko... I tam wpuścili mnie... W karcerze było tak nasiusiano, tak nabrudzono, tak nafekano... Coś okropnego... Ja nie mogłem... Po prostu fetor.

Okienko było wysoko, a ściany były zamrożone, po ścianach szron i nigdzie nie było, karcer był wąski... Tamże nie było się jak położyć...

Pięć dni karcera, myślałem, że nie wytrzymam, byłem młody, tak, byłem młody, ale ~~nik~~ myślałem, że nie wytrzymam, skoniam tutaj. Jako pożywienie na cały dzień przynosili mi szklankę wody i 100kg chleba. Jestem wierzący od urodzenia, byłem tak przez rodziców, przez matkę - taką pobożną kobietę, ale tam, ale nigdzie tak się

człowiek nie pomodli, jak w takim nieszczęściu. Modliłem się do Pana Boga, aby przyjął mnie do swych szeregów, zresztą do nieba czy gdzie... No i tak jednego dnia, drugiego dnia. A nie mogłem, nie mogłem wyjść. Siłą rzeczy i ja załatwiałem te sprawy... Tę wodę, która przez cały organizm przechodzi, też nie dalej, tylko tamże robiłem... I tak myślałem, że już się... Na czwarty dzień mnie przynieśli, czwartego dnia z rana. Nie pamiętam, jak upadłem na ziemię, zemdlałem, straciłem przytomność. Wtedy się raptem drzwi otwarli i wynieśli mnie do celi. Oddzielna, na jednego mnie cela była oddzielna. Przyszła lekarka, lekarza przyprowadzili... Nie kazała, aby mnie dać jeść, tylko troszkę i spokojnie. Dała mi leki, żeby spokojnie, żeby nie za dużo, bo źle ze mną. Na serce coś mi dała... Nie pamiętam, co mi dała. Tak ja miałem przyjść do siebie. Rzeczywiście wyzdrowiałem. Po dwóch czy trzech dniach, nie pamiętam, leżałem tam w celi, przyszła lekarka. Znowu obejrzała mnie: "Może wstać", na nowo mnie na przesłuchanie. I wtedy na przesłuchanie mnie wzięli, żebym ja opowiedział, jak ja pracowałem, jak ja... nie pamiętam dobrze... Przepowiedziałem, jak pracowałem. Jak wymagali - to powiedziałem. Powiedzieli, abym podpisał, daje przeczytać. Czytam jego pismo, protokół zeznania, a on pisze, że ja się przyznaję do tego. Ja nie, mówię: "Nie". "Jak to, znów chcesz do karczeru?" - pyta się mnie. "Nawet mnie wsadźcie do piekła żywcem! Nie podpiszę, bo nie jestem winien. Nic wam złego nie zrobiłem. Nie mógł zrobić, bo ja nawet nie miał takiej okoliczności, nie było. Ani ja w armii służyłem jakiej bojowej..." "A szto ty powiesz - pyta mnie - czemu ty wierny swojej władzy?" Ja mówię: "Po pierwsze jestem chrześcijaninem, katolikiem. po drugie ja przysięgłem. Była przysięga, że ja będę wierny tej władzy. Ty-le lat byłem..." "A co byś ty - mówi - zrobił... Jak ja z tobą skończę - mówi - takiego upartego - mówi - mało kiedy spotykam, a



ty- mówi- a co byś zrobił na przykład, gdyby- jesteś na stanowisku, pracujesz dla polskiej władzy, a naraż masz wiadomość, że jest na tę władzę jakiś taki spisek na nich jest, że grozi jej to, a ty wiesz o tym, co byś ty zrobił?" "Bez względu- mówię- kogo trzeba zawiadomił- tym, aby uniknąć tego". Pyta mnie się: "Ty to podpisiesz?" "Podpiszę". Napisał: "Zawsze wierny władzy polskiej byłem i gdyby się dowiedział, że jakiś spisek przeciwko tej władzy, jakiś, jak to się po rusku mówi, zagowor, o tym by władzę powiadomił". Tak podpisałem. Tak podpisałem. Na tym skończyło się przesłuchanie.

Od tego czasu siedziałem w więzieniu. Siedziałem, siedziałem i dowiedziałem się, że moja rodzina, ja siedziałem w białostockim więzieniu, że moja rodzina, okolicznościowo, przez aresztowanego, mnie znajomego, aresztowanego na moim terenie, w Waniewie, znajomego mnie człowiek aresztowali i wsadzili do mojej celi, i tu się dowiedziałem, że rodzinę moją, to znaczy żonę, córkę, syna i drugą córkę- małe dziecko; że ich wywieźli, wywieźli... Gdzie wywieźli- nikt nie wie, gdzie wywieźli...

Ja pytam kogoś... Ten nie wie i ten nie wie... Nareszcie postanowił, że może napisać. że mnie pozwalali napisać, piszę do jednego adresata, żaden nie odpowiada, do drugiego... Albo listów nie puszczała, albo co. Mieszkał w sąsiedniej gminie człowiek, który nazywał się Krzyśkiewicz Lucjan, który był, który u mnie budował, dom pobudował jako majster i tam on mieszkał. Postanowiłem napisać do tego Krzyśkiewicza, dziś nie żyje już dawno... On do mnie napisał, on przyjechał do wsi Waniewo, on przyjechał do mego mieszkania, tutaj zbadał, że rodzina moja wywieziona już pisze z Rosji, że już pisze z Rosji do Waniewo, a ja jeszcze w Białymstoku w więzieniu. Ta wiadomość mnie uaszczała, że oni żyją. Teraz, jak ja bym tam mógł się dostać, ale ja siedzę w więzieniu. Naraż wywoła mnie. Jestem na liście, wywoła mnie. A ja w tę porę zachorowałem na nerki.

Lekarz powiedział, że ja nie chory, że nie mam temperatury, dlatego ja to wiem. Razem ze mną w celi więziennej był lekarz, dyrektor Szpitala Trzemienia Pańskiego w Warszawie, przekraczał granicę i podał. Lekarze mnie chcą koniecznie żeby ja chory- nie mogą siedzieć. Rosyjski, który przyszedł do celi na badanie, mówi, że: "u niego nic nie ma". Ale stary ten polski lekarz aresztowany mówi: "w chorobie nerek temperatury nie ma, ale jest to choroba bardzo trudna, trzeba mu dać lek i trzeba go jakoś ratować". Każą mnie wyjeżdżać. Położyli mnie w szpitalu w Białymstoku, przy więzieniu jest tam taka cewa szpitalna. Przychodzą do mnie- "pojedziesz". "Gdzie?" "Do rodziny". Siostra szpitalna mówi, była jakaś taka sympatyczna, mówi "nie wyjeżdżać stąd, z chorobą nie wazną w etap, to jest trudna rzecz, a etap daleki- mówi- nie wyjeżdżać". Ale jakże przecie, chociaż ja chory, zobaczą jeszcze raz swoją rodziną. Wyjechałem i po drodze... Stamtąd wywieźli mnie do Mińska. Po pewnym czasie, nie pamiętam ile byłem w tym Mińsku, z Mińska do Witebska, po pewnym czasie, to taka podróż etapowa, potem wywieźli mnie do Leningradu. W Leningradzie wsadzili mnie do takiego więzienia w podziemiu. Zapomniałem nazwę tego więzienia. Przesiedzieliśmy. Było tak, że trzeba przez luft taki mурowany schodzić z piętra na dół, pod ziemię. I woda była w tych pomieszczeniach, tylko przy filarach było trochę wyżej, i tam na kolanach w takich kupkach tam siedzieli. W Leningradzie to byliśmy tylko 2 dni. Z Leningradu wywieźli nas do Wołogdy. W Wołogdzie byliśmy parę dni, a z Wołogdy do Archangielska. W Archangielsku byliśmy dłuższy czas. Potem przewieźli nas pod Murmańsk. Tam, jeszcze w Archangielsku, nie było z czego żyć, głód był taki, to ja, panie, szedł do kuchni i jadłem takie obiekyny, to mnie wtedy ukradli marynarkę... A taka była kradzież, takie rozbestwienie między tymi więźniami samymi, że jeżeli miałeś buty na nogach, to trzeba było drutem na noc przywiązywać, bo zdjęli i zabrali, ruskie takie byli. Polaków



było niedużo. Popadłem w taki łagier, tam rozwieźli nas Polaków tam nie było za dużo. Dużo było Ukraińców, dużo Białorusów. Był nawet ukraiński ataman.

Wywieźli mnie z tego Archangielska do innego miasta. Miasto- Wyborg, a łagier się nazywał Soroka. I w tym łagrze Soroka, ja tam, ja, dali mi początkowo sprzętanie przy baraku, a później dali mnie, tam budowana była kolej, tam jest kraj, tak zwany, tysiąca jezior, Kara-

. Tam my budowali kolej, drugą linię, bo tam była jedna linia kolejowa i tam tylko co 50km mógł się pociąg mijać i wyminać, a tak to nie, to teraz postanowili wybudować drugą linię. Trzeba było rozkopywać górki takie i zasypywać jeziora między tymi górkami. Woda nie tak bardzo głęboka. I trzeba było z tych górki kilofem, albo też jakimś łomem rozbijać tę ziemię i sypać w tę wodę. I szła tamtędy druga linia kolejowa. To długa robota i dużo roboty. I tam, ja tam zachorowałem, przy tej robocie, ale pewnym... Dynamitem- robiono wiercenia, w tej skale, tam wkładano dynamit i rozsadzano te skały. A potem te odkamy, jak większy, to rozbijano i do wsypywania w tę wodę- taka budowa szła, więc może za blisko ja i inni za blisko staliśmy tego wybuchu. Może za tęszy był ten wybuch, ale w chwili był wybuch, to mnie rzuciło, ten podmuch rzucił mnie w tył i uderzył karkiem w te kamienie, i to mnie tak zrobiło, że po prostu nie mogłem... Po prostu wynieśli mnie. Tak jakiś czas byłem w takim, to nie był szpital, to było takie pomieszczenie, tam przychodziła siostra. Po jakimś czasie, smarowali mnie. Trzeba powiedzieć prawdę, że póki człowiek, póki człowiek przy pracy, to tam jego nie uważają nic, ale jak zachoruje i położą do szpitala, to taka względna opieka jest. I oto ja już do tej ciężkiej roboty nie mogłem być, więc dali mnie taki nadzór nad barakiem. A w baraku tym byli więźniowie, między innymi był Stalina kolega. Stalin sam nazywa Dzugaszwili, a kolega nazywa się Pałangaszwili, salaohetny człowiek był, może w biedzie,

był od Stalina starszy wiekiem. On nic, tylko nagietki sadził. Bo tam kwiatów nie ma, tam tylko z południowej strony baraku, tego szpitala czy baraku, to on sadził te nagietki. I zakwitły w lecie. Lato... tam jest krótkie lato. Pałandaszwili jakoś się tak do mnie przyczepił, jak to się mówi, więzielnik do więźnia. On był, on kolegował ze Stalinem. Stalin, według jego opowieści, w młodości uczył się na duchownego, ale jakoś zrezygnował. I właśnie oni obaj wykonali jakiś czyn, nie przypominam czy był to jakiś pociąg, czy jakieś coś, wysadzili w powietrze, ten budynek czy też jakiś pociąg, Stalin i ten Pałandaszwili i w skutek tego oni się tak złaczyli. Później, rozumie się, Stalin był, jak by powiedzieć, samolubnik, bo on nie chciał się za nic dzielić swoimi sukcesami z kimś, a na odwrót, wszystkie przypisywał sobie, więc i oni się pod tym względem rozłączyli. Jak się rozłączyli, to Pałandaszwili popadł. Nie kto inny tylko Stalin wsadził go do więzienia, aby on nie odbierał tych sukcesów Stalinowi, wsadził go na 10 lat do więzienia. Po 10 latach, kiedy... Ja z nim rozmawiał, wtedy on był już więcej jak 10 lat w tym więzieniu, ten Pałandaszwili, i mówi: "nie chcę go przeklinać, ale co zbrodniara, niezwykły zbrodniarz... jak mogło społeczeństwo takiego zbrodniarza wydać... Kiedyś odsiedział 10 lat i wracałem do swojego kraju, na jednej stacji przed miejscem zamieszkania, jednej stacji brakowało, weszli do wagonu i: "Pałandaszwili, czy Pałandaszwili?" - "tak dawajcie!" - zakuli na nowo w kajdany i odczytali: "10 lat trudowych łagierów". Prawda - mówi - ja już niezdolny, stary do ciężkich, tak już ja tu na tej pomocy i tutaj skonam". Nie wiem, co z nim dalej. Co prawda, rozmawiałem z nim czasem...

Kiedy ja się właśnie wyleczyłem ze swojej tej choroby, to nie byłem zdolny do tego. Dali mnie z początku zarządzającym baraku,



a później zrobili mnie sanitariuszem- dlaczego- ja umiałem po łaci-  
nie, byłem przy kościele, służyłem tam i w ogóle, łacinę znałem. A  
znamięniste jest to na świecie, że wszędzie leki to w łacińskim języ-  
ku, wszędzie- to i tam. Więc ja miałem dyżur, 24godziny dyżuru i 24  
godziny odpustu; więc tam jest duży, dość duży szpital, i w tym  
szpitalu ja 24godziny; tam różne byli ludzie, i Ruscy byli tym szpi-  
talu. No i ja tam pracuję w tym szpitalu. Jakoś miałem u tych szpi-  
talnych władz zakufanie, no to ja co mogłem, to tam przy tam; pamię-  
tam paru Polaków... Był tam, nie pracował, ale był tam, Polak, Siwi-  
lewicz. On był potem powrócił do Polski i mieszkał w Gdańsku. On  
przed wojną był roznosicielem pism polskiej organizacji kościelnej,  
to on właśnie tam... To ja ich wspierał. I jeszcze jeden był, nie  
pamiętam nazwiska, już zapomniałem. Trzech ich, to ja i, bo w szpi-  
talach , to taka jeszcze rzecz póki chory, póki pracujesz, to ci  
dadzą na kartkę i tyle, ile wypracujesz. Jak wypracujesz, powiedzmy,  
taka jest sytuacja, jak wypracujesz normę, to dostaniesz 600g chle-  
ba, a tylko chleb się tam liczy, to reszta ta się nie liczy, tam dadzą  
jakiejsz zupy-wody. Jak nie wypracujesz - 300g chleba, jak normy  
nie wyrobisz. Jak wypracujesz półtorej - 900g chleba, a powyżej 1,5  
normy, to jeszcze taka mała pszenna bułeczkę wtenczas dostajesz. No  
to pracowali, byli przy mnie i pracowali, i trzeba przyznać, że rus-  
kie ludzie pracowali, może lepiej, jak, prawie jak u siebie, w swo-  
im kraju. Ale ci porozbierają, prawie do naga prosto . tam na wypust  
koszulka, i prawie że gołe pracują, do potu, żeby zdobyć większą  
normę. Ale wszyscy ci, co wyrabiali po 900g i bułeczkę, wszyscy w  
ziemi leżą, bo, jak się okazuje, chleb nie wróci tych sił, jakie  
się wyczerpie na tę pracę. Ja się tymi chorymi bardzo opiekowałem,  
no, jak by się wyrazić, sam w takim nieszczęściu tego, to i im  
współczułem. Chorym dobrze, żywili chorych dobrze, dawali im i ma-  
sełka trochę, i bułeczkę, i kawałek mięsa. Jak to wszystko postawi

się, przed każdym chorym jest tumpka i w tę tumpkę stawiało się... Ale chory nie trafiał do szpitala, kiedy jemu brzusek zaboli, ale on był dobrze chory, prawie umierający, to on tegonie zjadał. Pewnego razu przyszedł naczelnny lekarz. Stanął ja, melduję. "Poczemu eto w tumpkach steit pizacza?" Ja mówię, że chory nie zjadł, "wczera połuczyl, nada jemu skuszat". "Niet, wybrasiť. Jemu z nowa dadut! No to ja nie wyrzucał, po prawdzie, szczerze mówiąc, to ja sam zjadłem lepiej. I tam troszkę się poprawiłem, bo trudne, abym ja dobre rzeczy wyrzucał. Ale te rzeczy zbierał ja i tym swoim, Sawickiemu i Siemielewiczowi, i ja im wyniosę. Szpital był ogrodzony drutem kolczastym, ale mnie wolno było wychodzić... Ja to wezmę, nawijam, napakuję i przez ten drut kolczasty daję. Kiedy potem wróciłem do Polski, oż, jakież podziękowania, dziś jeszcze mam listy, jak jakie ucałowania... Sawicki to nie wiem, ale Siemielewicz dawno nie żyje, bo to był starszy człowiek. Dziś mam jeszcze kilkanaście listów, jak on dziękuje, że ja mu tak pomogłem w życiu. Tak eto byłem w tym szpitalu. Nareszcie jest wojna z Finlandią i wszystka ta armia idzie na front. Ale Finowie tak się urządzili, do czego nie podejdzie ta sowiecka armia, czy do drzewa, czy do jakiegoś budynku, czy do czegośkolwiek tknie się, wyleci w powietrze. To wszystko było zaminowane, tak, że, pisali, 120-tys, armia sowiecka peddała się Finom do niewoli. A kiedy potem ją wykupili, niby to wtedy całą tę armię skierowali do Łagrów za to, że dostali się do niewoli. Wskutek tej wojny, wskutek tego zaburzenia, nam było ciężej. Wtedy nastąpił taki okres, kiedy podpisano akt Sikorski- i wskutek tego przyszła amnestia, i, między innymi, i ja zostałem zwolniony.

Szpital cały trzeba było ewakuować, przewozić. Przewieźli ten szpital, ale trzeba było takich, nie pamiętam dokładnie, sześciu czy siedmiu czy może więcej chorych takich... Był wśród nich chory taki, gruźlik. Miał on już tę gruźlicę tak zaawansowaną, że miał



dziury w płucach i kiedy on zaczynał kaszleć, to flegma jego wyskakiwała ustami, a tymi dziurami w płucach, to coś okropnego... I sparaliżowany był jeden, i jeden pół-wariat, który prowadził do okna i, zobaczy w oknie, i on odgraża, odgraża, że zabije... Całkiem zwariowany człowiek... Po prostu straszne rzeczy... To tych kilku czy kilkunastu zestawili. I znów, to z jednej strony dobrze, z drugiej strony nie. Mnie tu zestawili, ponieważ ja umiem leki dać i jakoś między tymi chorymi mile widziany jestem... Te cholery mnie zestawili na opiekę tych więźni. Umarł jeden by... I ja się tam nimi opiekowałem. Jeden staruszek, pamiętam, jak mówił: "O dietki, moje dietki, jak ja was chciełby widzieć". I poprosił, abym ja go wziął i zaniósł w okno umieszczone w szpitalu od strony południowej: "Sanitarz, woz'mi mienia w okoszek, żeby ja uwidzieć". I ja go do tego okoszka zaprowadził, a on się uczepił, kzy mu ciekły: "O sołnyszko moje, o dietk moje..." Ale umarł, nic zrobisz... No i ostatnich sześciu czy siedmiu przyszło ewakuować, i ja ich prowadził. Już nie można było przejechać, tak ostrzeliwali, to przecież jezioro Ładoga... No już ja wolny, gdzie ja pójdę? Żebym był zdrów, to bym na pewno do Finów uciekł, ale ja też nic nie warty, a przy tym i strach mimo wszystkich, a czy ja drogę tam znam... I, panie, przejechaliśmy, to zdawało mi się, nareszcie wszystko w porządku... Dopiero jednego w rowie pochowaliśmy, drugiego, bo umierali po drodze, całkiem bez opieki, bez jedzenia takiego... Przyjechaliśmy do tego szpitala, tzn. ja, sanitar, jeszcze dwóch i jeszcze jedna kobieta, też chora, dobra, szlachetna kobieta. Przyjechaliśmy do tego szpitala, no zdaje się, jako sanitar zasłużony powinien do szpitala, ale tam, na moje miejsce, wsadzili kogoś innego i ja już do szpitala nie poszedł. Tak się męczył jakiś czas i coś zrobić, i trzeba wskutek tego jechać. Tam bardziej głodny nie był, bo jednak znajomi w personelu szpitalnym... Ale posadzili kogoś innego. I tam zes-

tają. Wolny. Mogę jechać do rodziny, mam adres rodziny, tak, i mogę jechać. Rodzina była w Kaza , stacja Koczetała. Proszę sobie wyobrazić, ja jechałem 34 dni. Dostałem na to 150 rubli, wolny przejazd jako zwolnionemu, chleba bochenek i 6 takich rybek... taka chuda ryba jak śledź, i z tym na drogę. No odjeżdżając w nocy pierwszy raz muszę wyjść. Ale to jest, jak to się mówi, szczęście czy Beza opieka... Kiedy wyjeżdżałem, trzeba było przenocować, w nocy nazajutrz ma być pociąg, tymczasem trzeba iść do tego dworca. Wyszła kobieta i pyta: "Dokąd idziecie?" Ja mówię, że tam idę. "Nie idźcie, bo was okradną". "No to co ja mam zrobić?" Na to: "Zaczekajcie tutaj". Polka była, nazwiska nie pamiętam, ale Polka była. I rozpłakała się modliła się... "To - mówi - masz drogę". Poczekałem u niej i kiedy wyszedłem na step, bo tam do tego pociągu trzeba było niecały kilometr iść pieszo do stacji. Kiedy wychodziłem pożegnałem się z nią. Kobieta z płaczem mnie przeżegnała, a ona krzyżem świętym mnie przeżegnała i żebym ja szczęśliwie do celu jechał.

Pojechałem, ale nie bardzo daleko odjechałem. Podjechałem może jedną czy dwie stacyjki, a wszystkie wojska, te wszystkie armie jadą do tej Finlandii, to ja nie mogę. Zjadłem te rybki... Ze mną jechał Zarzycki - Polak, z Łap. Nie w tym łagierze był, co ja, ale jechaliśmy razem. Spotkaliśmy się po drodze: "No i jadę". "To ja też jadę z tobą". "A gdzie to jest?" "Na Syberii". "Gdzie tam, ja wyładuję do Kołchozu, będę w Kołchozie". I rzeczywiście, opuścił mnie i poszedł do Kołchozu i już on stamtąd nie wrócił. Dlaczego mówię o Zarzeckim? Bo jeszcze w opowiadaniu będzie jego żona. A on znajomy jeszcze sprzed wojny. Zarzecki - on był w Łapach takim, co kierował ruchem pociągów, był dyspozytorem. Miał dwie córeczki i syna, i tak pięknie żyli, i tak on został. Jedziem my tam i tak już tam ciężko się dostać, na pociąg nie przyjmują, choć ja mam prawo wejść, jak nie wezmą to i tak nie mógł pojechać. A tam w jedną i w drugą stro-



nę wojska iwojska. Ale jadę. W wagonie poznałem Żyda z Brześcia Litewskiego, nazwiska nie pamiętam, chory taki. Ja poszedł i z parochodu zaczerpnął wody. Naraz wojsko wchodzi do wagonu. A my tylko ten Żydek i ja popadli tak nie do wagonu, tylko jak się wchodzi do wagonu, ten Żydek leży pod ścianką. Ale wszedł oficer rosyjski, tylko spojrzał - poznał, że to Żyd, oficer też był Żyd, a wtedy Żydzi mieli w Rosji duże szanse, mówi do niego "co?" Mówi, że nie wpuskają chorych, mówi po żydowsku, że "ten o Polak - na mnie - się mną opiekuje, ale on nie może i ja nie". Zawołał kierownika pociągu - "Dać im dwa dobre miejsca". Ale niedaleko ten pociąg idzie, żeby, tam było tysiące kilometrów... I tak pojechałem. Stamtąd dojechałem do Wołogdy tylko jeszcze. Wołogda - miasto duże, stacja, do stacji się idzie jakieś 150m i jakiś widok, jakie tam stosunki, jaki tam naród. Stoi świątynia, patrzę, przychodzą oficerowie i przychodzą ludzie nauki, i kobiety... i stoi ściana przy stacji, i patrzę, na wysokość do sufitu, może wyżej, ludzki kał, kupki ludzkiego kału przyklepione. Ktoś to zrobił, nie ręką może, i rzucił, żeby to jedna, ale to wiele. Sprofanowana była ta świątynia. Przyszli na tę stację, a tam ani jak nie można odjechać, za nic żaden pociąg nie zabierze. Czekaemy, czekaemy, nic się nie możemy doczekać, ale pociąg jest, ewakuowany z Leningradu, nie wiem, dlaczego oni ludzi z Leningradu ewakuowali, ale cały wagon... No i wagon jest, rodzina ma wagon: pani jest z Leningradu, córeczka, lat gdzieś 12 może, i chłopczyk, lat może 6. Itak się cieszą. Na środku jest kuchenka w tym wagonie, na tym piecyku stoi garnuszczyk, i coś się gotuje w tym garnuszczyku... No i ja tak szedł, tu nie można i tu nie można wejść, bo wszystko zajęte. A tam tylko kobieta i dwoje dzieci. To ja się tam skłonił i proszę, czy mógłbym podjechać. "A dokąd jedziecie?" "Dajcie choć trochę podjechać". "Wsiądźcie". Wlazłem, siedzę. Oni jedzą gorącego, chcieli mnie częstować, ale

ja nie, usiadł spokojnie. A taki trafunek. Nie miałem ze sobą łyżki, "To ja wam dam łyżkę i małą do czaju". I po dziś mam tę srebrną łyżkę, i małą do herbaty, w tym domu, jakkolwiek nie używam, ale mam. To czysto wartościowa rzecz. Pociąg szedł, a ja zmęczony, senny. Pociąg szedł, wagon za wagonem zderzył się, szturchnął, i ten garnuszek z tym mięsem, co stał na piecyku, przewrócił się, i tą strawą chlusnął na ziemię. Ta matka prosto płacze, dzieci też, odskoczyli w kąt. To dzisiaj jeść nie mogę, ale wtedy to wprost oczami jadł, to ja, pominawszy człowiecze ambicje, zaczął zbierać do tego garnka. Ona już nie będzie jadła, jakiegoś dygnitarza z Leningradu była, jak ona srebrne łyżeczki może dawać. Ale wzięwszy to mięso z podłogi zjadł, i jeszcze zupy zjadł, to najadł się mocno. Jak ja to wszystko zjadł, to mnie się wydawało nic, ale jej, jak by to powiedzieć, wygląd może ja miał i człowieka, ale jak ja tak postąpił, nie jestem taki ze sfer. Ona nie wie, że to głód wszystko może. Podjechaliśmy jedną stacyjkę, ona mówi: "Musicie nas opuścić". Na pamiątkę daje mi te łyżeczki. Ona nie, ale dzieci śmieją się ze mnie. że ja to zjadł. I prosi, żebym ja opuścił. I musiałem opuścić. Tam na stacji udało mi się zaraz wsiąść do pociągu jadącego do Świerdłowska.

W Świerdłowsku ja rano się obudziłem, jeść się chce, kupić nie ma, niczego nie ma. Poszedłem ja rano, nie ma nigdzie nic absolutnie, to ja poszedłem... Ja powiem, będzie to z mojej strony wstyd, ale powiem. Poszedłem ja i patrzę - takie duże kartofle, ładne kartofelki leżą przy mieszkaniu... Ale widzę - już ziemniaki te gotowane jest, to ja wziąłem... Głodny byłem, głodny jak cholera, to ja wziąłem parę zasadził pod pachę. Sobie tak idę, "ogrzeli się" - myślę - "ja ich zjem". Czyste, nieżupione, nieskrobane całe ziemniaki. Wziąłem, jakem zjadł, ale one nie były takie całkiem zwarzone, jakem zjadł, jakem zaczął wymiotować. O Panie Boże, myślałem, że umrę, że skongam potem. No i co, trzeba się ratować. Mam 150 rubli



gotówką, ale za to można tyłek wytrzeć, nie kupić. Idę ja do biura, wchodzę, kłaniam się... Tam jakiś urzędnik wyższej rangi siedzi, na przedzie taki piecyk, żeby ciepło było, a tuż za nim jest taka przystojna Rosjanka, urzędniczka. Ja przeprosiłem, mówię, że taka i taka sytuacja, że oto ja mam gotówkę, ale nie mam gdzie kupić. To zjadłem, co mi przydzielono dawno, już dobrych kilka dni jadę i męczę się, coby on mnie, czy by mógł, przydział jakiś za gotówkę. A on mówi, że u nich nie ma, nie ma takiej dyspozycji, coby kuszać dać, to jego nie upoważnia, nie ma - to nie ma. "To pozwólcie chociaż nagrzać się przy tym piecyku" - położyłem rękę do tego pieca i patrzę, a ta kobieta to na mnie patrzy, to aż jej się łzy kręcą w oczach. Podeszła do tego urzędnika, zaczęła mu coś szeptać. Szeptala i szeptala, nareszcie poszła i usiadła na miejsce. Ja widzę, że ja może przeszkadzam, chcę odchodzić, a on mówi: "Padaż-ditie, et wy w takim służącie, czto wy jedzicie k'siem'i, byli w łagrach, ja wam takie, na tyle a tyle chleba..." Na dwa bocheneczki małe chleba, na dziesięć rybek. Tylko, rybki można kupić w takim to kiosku, a chlebek - tam i tam. To ja podziękował, pokłonił się jemu i z daleka do tej mówię: "Barysznia, oczeń mnoga blagodariu, bo wiem, że to wy mnie zdziełali". Poszedłem ja. zaszedłem do kiosku gdzie chleb sprzedają, a tam mówią, że zamknięty. Jak chleb zamknięty, to trzeba na jutro. A mnie ciekawe, ja chciałby pojechać, a to aż jutro o godzinie 10-ej chleb będzie. Wykupiłem, według tego pozwolenia wykupiłem w sklepie chleb, tak dostatecznie, co tam było napisane. I kupiłem w sklepie te rybki. Kiedy powiedziałem w sklepie, dokąd ja jadę, tak trochę opowiedziałem, uprzejma ta sklepowa, widocznie miała też swoje, jeszcze mi jako dodatek dała terebkę cukierków. Pojechałem dalej, przyjechałem do Kiszy-niowa. Tutaj jest stacja, gdzie przekracza się Ural. To jest stacja, w której w bardzo różnych kierunkach rozchodzą się pociągi.

Tak bardzo ciężko wydestać się. Po prostu stąd wyjeżdżają cały czas z poleceniami, nakazami i nie ma miejsca. Tak czekałem cały dzień, na drugi, nie mając nic na stacji poszłem... Tam była polska placówka gen. Andersa w tym mieście. Pojechałem ja tam na drugi dzień. Starczyło mi tego zapasu jedzenia do wieczora. I jak się wydestać z tej stacji? Przenocowałem drugą noc na stacji, w budzie pod stacją. Obok mnie taki sam czekał jak ja zniszczony człowiek. Rano ja się ocknąłem, on nieżywy, ja po prośbu spoczywałem na trumie tym, po prostu przestraszony. Poszłem do tej placówki polskiej, zaszedłem i przedstawiłem to, ale placówką kierujący oficer, rangi nie pamiętam, mówi: "Nie nie mogę pomóc, bośmy akurat spakowali, wszystko spakowane, bo przyjeżdża jutro oficer, który nas przyjmie i pojedziemy do Iranu". Ja tak tym udręczony i zmęczony wracam do stacji stacji. Idę nie trotuarem a poboczem, idę drogą przy trotuarze, no bo wyglądam taki obszarpany. Wracam. Naraz naprzeciw mnie od stacji idzie oficer. Stanął. "Proszę się zatrzymać. Czy pan Polak?" "Polak"-mówię. "Czy ja się mylę- to pan Krysiwicz?" "Tak jest". Podaje mnie rękę - "A pan mnie poznaje?" Mówię: "Nie mogę poznać". "Jestem Skrzypczak, pamięta pan jak my w Łapach grali w karty?" "Pamiętam" - mówię. "A potem jak mnie pan do okna wpuścił, jak nas wieźli, to na stacji pierwszej poza Białymstokiem. Pamięta pan jakżeśmy jechali i pan był w okienku u góry i mnie wpuścił, bo na tej stacyjce mieszkali moi rodzice i mój brat, i oni wiedzieli, że ja jadę, że wywożą mnie do Rosji i chciałem się jakoś uklonić, pożegnać. Ja za to panu bardzo wdzięczny, jak ja się panu odwdzięczę? Teraz chodź pan, co pan tu robisz?" Mówię, że byłem w tej placówce polskiej, ale mnie tam nie ... tam już wszystko zamknięto, spakowano, że jadę do rodziny, a do rodziny jeszcze setki kilometrów, za Ural. ✕ "Wróć -mówi -pan ze mną". Powróciliśmy. "Proszę posiedzieć" Za chwilę wyszedł oficer, który przed chwilą nie mógł nic załatwić,



pedaje mnie rękę, przeprasza: "Jakoś to tak, kiedy przyjechał ten porucznik, który mnie zabierze, to jak to zrobić?" Daje mi znów na bochenek chleba idaje mi na rybę - parę sztuk ryby. Porucznik Skrzypezak mówi: "Ja bym was, panie Krysiwicz, zabrał ze sobą za granicę, ale wy tak wyglądacie, że mowy nie ma, nie wyglądacie na człowieka wojskowego, by go wcielić do wojska". Ledwie żywy, trudno, wziąłem, podziękowałem, pożegnałem się. Powróciłem na stację. Jeszcze tylko jeden dzień czekałem, a na przyszły dzień wyjechałem, bo kobieta miała bilet wykupiony, 20 rubli kosztował ten bilet, do pierwszej stacji za miasto dojechał, za Ural, dojechałem. Myślę: "Już teraz z tego pociągu nie ruszycie, mam jechać do Kaczetawy, miejsca zamieszkania mojej rodziny". Tak było. Pomału dojechałem do tej Kaczetawy. Miasteczko jest Kaczetawa, jak się jedzie dalej, jest po prawej stronie kolei, a po lewej, to trzeba jechać do tej Kazanki. Do Kazanki nie można było dojechać, samochodem można, ale nie było, przeważnie woźni dojeżdżali, ale trzeba się dowiedzieć, jak się do tej Kazanki dostać. Zaszedłem do telefonu, rozmawiać po rosyjsku potrafię, podzwoniłem do Kazanki, "Kto mówi?" "Taki. Czy jest - mówię - Belesława Krysiwicz z rodziną, moja moja małżonka?" "Zaraz się dowiem". Za chwilę mówi: "Niestety, nie ma. Żona pańska i rodzina wyjechała do A . Stamtąd - 500km. To już koniec, mogła moja". Zapłakałem, wróciłem do miasta i siedzę. A wygląd był straszny, bo choroba nerek tak się u mnie rozwinęła, że nie mogłem noczyć. Opuchły byłem taki, że palce mogłem włożyć w skroń, jak w miękkie ciasto wchodziły... Cały byłem opuchnięty. Cóż mi, ani jeść, ani tego, tylko bym pił. Myślę: "Koniec, trzeba". Spotkała po drodze jakaś kobieta. Mówi: "Co wam jest? Wy całkiem, wy koniecznie do szpitala idźcie, wy całkiem jak nieżywy". Poszedłem do szpitala, zaszedłem, a tam mówią - "Wszystkie miejsca zajęte, mowy nie ma, żeby w szpitalu mogli przyjąć". Więc co robić? Ale wychodzi ko-

bieta, Rosjanka, mówi, że nie może być tak, "usiądźcie na schodach tego szpitala, ale trzeba długo czekać, do godziny 6-ej wieczorem, będzie naczelnny lekarz szpitala. Jak on będzie szedł, jak on was zobaczy, to musi być miejsce jakieś zapasowe, żeby was przyjęli. Nie może, po prostu nie może inaczej". Ja postanowiłem tak zrobić, ale przedtem idę jeszcze trochę się przejść. Jaki był mój wygląd, to można sobie wyobrazić, dzieciaki małe, Kazachy małe, nieśli na kartki chleb, kawałki mnie wtykali w rękę. Byłem podobny do żebraka, do chorego i nie podobnego do człowieka. Więc zaszłem do kiosku, miałem jeszcze pieniądze, które ta polska placówka dała, parę dziesiątki rubli. Myślę... W tym kiosku jakiś ślepy na oko muzykant na harmonijce grał, muzykant - stary człowiek... A w kiosku nic nie było, tylko porcja zupy... Kosztowała 10 rubli, jak dziś pamiętam. Tylko łyżki nie dawano, tak zwaną pijałkę. I z tej pijałki gębą było wypić tę zupę. Nie, nie wezmę. Szkoda, może jeszcze bym to wypił, ale poszkodowałem tych rubli, jeszcze nie wiadomo, co się stanie. No i tak czekam, do drzwi przyszedł, bo w środku było cieplej niż na drodze. Stoję, aż lecą dwie dziewczynki. Jedna miała lat ze 12, a druga miała jakieś 5-6. Weszli, starsza popatrzała na tę zupę w kiosku, "Chodź, tutaj nie ma nic dla nas". Ja posłuchałem między tymi ludźmi język polski. Stałem przy drzwiach, mówię: "Czy panienki są Polki?" Stali jak wryte obydwie, szczególnie starsza, mówi: "A pan Polak?" "Polak". "A pan nie wygląda na Polaka" x. "Co ja mam zrobić, że ja niepodobny do Polaka, ale Polak jestem". "A skąd pan?" Nie wiem, nie mogę powiedzieć, że jestem ze wsi jakiejś tam waniewo, ale mówię, że jestem z Białegostoku. "Białystok - dziewczynka mówi - ja nie wiem, gdzie takie miasto" - i już ma odejść, a mnie tak żeby z tą dziewczynką porozmawiać, mówię: "Panienko, podałem Białystok, ale ja naprawdę jestem z Łap". "Łap - mówi - to u nas pani jest z Łap". "Jaki to z Łap?" x "Ona mieszka



bardzo daleko , 800km stąd, ale ona przyjeżdża, bo u nas jest fabryka wódek, monopol. Jak ona tu przyjedzie, jak kupi tę wódkę, to tam za wódkę może wszystko dostać, tam, gdzie ona pracuje". Mówi: "A gdzie wy idziecie?" "A wy -- gdzie mieszkanie?" "Na ulicy Stalina numer 72". Ja podziękowałem i one poszły. A ja idę na tę ulicę Stalina. Długa ulica, wiem, że po jednej stronie ulicy numery parzyste a po drugiej nieparzyste... Przejdę, na jednym numer 70 a na drugim 74. "Mój Boże - myślę -starego każdy oszuka, takiego numeru nie ma". Ale zachodzę za gmach 74, a za tym gmachem jest mały domeczek kryty papą, trzciną obity "O Boże mój, to jest dom siedemdziesiąty drugi". Zapukał ja, a tam po cichu mówi:"Proszę". Wszedłem, a tam staruszka, babinka przy piecu siedzi siwiuteńka. Ja powiedziałem: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Kobieta się poderwała, "A pan Polak, po polsku mówi..." "Tak - mówię - ja pani opowiem. Tu takie dwie dziewczynki spotkałem i mi powiedziały". "To niech pan siada, ja panu dam się napić zaraz, bo pan tak źle wygląda". Dała mi wody gorącej i skóreczkę chleba. Gdy powiedziałem jej, "Tak, tutaj są takie kobiety, które przyjeżdżają do mnie. Oni przyjechali po wódkę i poszli po wódkę. one się wrócą na godzinę drugą, proszę poczekać, one przyjdą". Ja powiedziałem, że jestem z Łap i mnie interesuje z Łap kobieta; jeżeli ona z Łap, to może mnie zna. Ja byłem znajomy wtedy w Łapach, byłem tyle lat urzędnikiem i wójtem, to dojeżdżałem do Łap, to każdy mnie znał w Łapach. No to przyjeżdżają, weszli, witają się. Kobieta tak na mnie spojrzała - "Nie mogę uwierzyć, czy to pan Krysiwicz?" Ja nie poznaję. "A ja - mówi- Zarzeczka". "Oj - mówię - ja z mężem pani jechałem. Tylko on wysiadł, bo nie mógł z jakichś powodów jechać i poszedł na kołchoz, i w kołchozie został, ale to z tamtej strony Urala. On został, tak, że nie wiem gdzie on teraz jest". "A pan?" "Nieszczęście. Przyjechał do żony i

wywieźli ich. Jest w Akmolińsku . "Panie - mówi - my jedziemy przez Akmolińsk , my pana dowieziem. Ale co panu jest, że pan taki zapuchnięty, że całkiem do człowieka niepodobny?" Mówię, że to od nerek. Mówi: "Zaraz, pogadamy później, ja polecę na stację, tam jest Czerwony Krzyż, ja znam lekarstwo od nerek, unotropina się nazywa". Ja mówię "Nie mogę się moczyć, wcale się zatrzymał, kapnie troszkę i nie". Kobieta taka, że ojej, jakby anioł opiekuńczy. Ona dała mnie tej unotropiny i zaczyna mówić: "Żona pańska jest w Akmolińsku, tylko córeczka najmłodsza, Elżunia, umarła". Bardzo się spłakałem... Więc poczekawszy do tej godziny, o której pociąg odchodzi, wsiedliśmy, kobieta mnie pomogła wsiąść do wagonu, i pojechaliśmy. I tak jechaliśmy aż do Akmolińska. Pomału przyjechaliśmy do Akmolińska. Tu nastąpiło powitanie, dużo łez, dużo płaczu... Zobaczyłem, jak moja żona tam z dziećmi mieszkają... Ta kobieta, która przyjęła mnie jako druga, nazywała się pani Jakimiec. Ta pani Jakimiec mieszkała w tym budynku, w którym moja małżonka i niedaleko spała na pryczy z córeczką. A ta pani Zarzecka pożegnała się i pojechała dalej. Ona jeszcze była 400km dalej... No ja tu, ułożyli mnie... "Spokojnie, dzieci, powrócił tatuś"... ale tatuś nie był do tego... No prawda, że po tych, po tej unotropinie, mocz zacząłem oddawać nadzwyczajnie. Jednocześnie ze mnie wyszło, schudłem, odstąpiła opuchlina i zrobiłem się suchy, szary, prosto nie człowiek, a szkielet. Położyłem i to, co mało jeszcze, że traciłem pamięć i plotkę. Żona przy mnie siedziała w nocy, przesiedziała przy mnie i trzymała mnie za rękę. A ja nie pamiętam, co ja plotkałem... To tylko pamiętam, jedno powiedziała: "Och żeby, jak by tu miał nie przeżyć tego, to choćby nie na oczach. Ile ja przeżyję... Teraz w takim stanie powrócił i koniec z nim..." Nazajutrz poleciała do doktora. Doktor przyjechał i powiedział: "Ja mogę zabrać do szpitala, ale nie będzie żył". No to płacz, lament... W baraku,



panie, jest dziesięć rodzin z dziećmiakami... I nie wzięli mnie do szpitala... W domu, no nie do opisanego, co ta moja małżonka, Bolesława, co ona, jak ona się troszczyła, gdzie u kogoś coś była, coś dali zjeść, żeby mnie uratować, i leki te; latała i do lekarza, i do miasta, żeby coś takiego odżywczego dla mnie... Tak mnie, tak leżałem trzy miesiące. Ale jak doszedł do zdrowia, to do tego stopnia łakomy byłem, że otręby troszeczkę zagotowane jadem. I tak się wylizałem, do zdrowia powróciłem, dzięki Bogu Najwyższemu i mojej małżonce, która naprawdę była moim aniołem opiekuńczym. Potem trzeba coś zrobić, bo dla takiego dają mniej chleba, tylko 300g chleba na dzień i 300g cukru na miesiąc. Mając już zdrowszy apetyt a nie mogąc prosto wytrzymać na tym, co dawali i nie mogąc odebrać chleba małżonce i dzieciom z ich porcji, zacząłem pracować. Dali mnie stróżstwo przy wagonach, w których był materiał dla robotników, a więc łopaty, widły, i tak dalej, i tak dalej, parę wagonów, i ja przy tym stróżowałem, i wydawałem to. Na tym byłem przez parę miesięcy. Potem troszkę się polepszyło i musiałem do roboty troszkę więcej wydatnej. Przeszedłem do pracy na budowie. I tak przebiegało życie i to nie jest takie bardzo wesołe, ale się żyło. Już się tak ustabilizowało, spokojnie, widziałem rodzinę, dzieci, małżonkę, która bardzo kochała mnie i dzieci. I zdawałoby się, dobrze, ale przyszedł czas, rok 1944, że kazali mnie stawić się do biuro, i w tym biurze, i rodzina, żona i córka, bo oni już mieli lata, syn nie. Syna przedtem oddaliśmy na opiekę jednego robotnika tam polskiego, a sami poszli. A tam powiedzieli: "Polski nie ma, Polski nie będzie, wy Polskę przepieprzyli, my robili tamki, a wyście graliście tango i dlatego waszą Polskę diabli wzięli. Dlatego ta miejscowość, co wy jesteście, od teraz się nazywa Zachodnia Białoruś i dlatego jesteście poddani Zachodniej Białorusi i macie przyjąć paszporty białoruskie, i poddaństwo". Ja: "Za nic w świe-

cie, co wy, nie zgadzam się, mowy - mówię - nie ma, za nic w świecie, ja jestem Polak i w Polsce pracowałem tyle lat, i byłem na stanowisku urzędniczym, i jestem Polak, i ja się tego nie wyrzeknę, za nic, mnie zabić, to ja na to przyjechał tu, żeby Polskę zdradzić, ojczyznę swoją, mowy nie ma". Ale przy tym pytali się i innych, ja byłem taki nieostrożny... Była jakaś panienka jedna, z Włodzimierza Wołyńskiego rodem była, burmistrza tamtego miasta córka jedna samotna, ojca zabili, matka gdzieś umarła... Ona się do nas tak przywiązała, do mojej córeczki i do tego... I tak przychodziła, i pyta się mnie, co ona ma robić, "Ja - mówi - nie wiem"... Ona miała może wtedy siedemnaście - osiemnaście lat. Więc: "Co chcesz, to zrób, ale ja nigdy w świecie, za żadne skarby, nie zmienię swego pochodzenia, ja Polak, jak nie będzie Polski to nie będzie". Tam ona, ta dziewczyna, w tym biurze też powiedziała, że: "Nie będę, bo tato mój Polak, i mama, i ja też chcę być Polką..." A kto ci to powiedział? - "Ja u Krysiewicza mieszkam, to Krysiewicz". To powiedzieli, że ja agituję, no i wskutek tego mnie, tylko, że nie chciałem wziąć, to aresztowali, ale jeszcze pod zarzutem, że ja jestem przeciwny zarządzeniom władz i do tego agituję, i wskutek tego mnie aresztowali. Przyszli nad ranem, żona moja, jak z jak zobaczyła, że mnie poprowadzili, zemdląca. W tym czasie było już z nią źle... Ale lekarka przyleciała, jakoś zastrzyk, jakoś ją ocuciła. No i ja poszedłem do więzienia... Oni, a propos tych kobiet, to zmiękli i jakieś parę tygodni czasu nie zmuszali tak. Razem ze mną był i duchowny jeden, i był szewc, i byli inni. I wszyscy jakoś pobrali, a ja byłem taki uparty, że nie wziąłem. Na przykład jeden się nazywał Dominik Lipiński, a drugi był marynarz z gminy Poświętne, ale ja jego nie pamiętam nazwiska, i oni ~~XXX~~ też nie chcieli. I oni ich aresztowali, i oni nigdy nie wrócili. Natomiast mnie zabrali do tego... siedziałem w więzieniu, tylko,



że to było w tym mieście więzienie, i żona wciąż umiała wyplakać, wyżebrać, to donosiła mnie pożywienie... A niezależnie od tego ja-koś i korespondencję prowadziłem z żoną. Brałem kawałek papieru i szmatkę taką, jak przysłał mi trochę zupy, to w tym ołówek wsadzi-ła. Ja z tym ołówkiem w celi więziennej pod łóżko wlażę i napiszę parę słów do małżonki i w tę szmatkę zawinę, i oddaję razem, zaszy-ję jeszcze to, także ona. Korespondencję w paru słowach prowadzi-liśmy. No i siedziałem w więzieniu. Siedziałem, aż mnie pewnego czasu wyprowadzili, podstawili samochód, kazali wyjść. Wrzucili mnie do tego, na tę przyczepę, nakryli mnie plandeką i powieźli do sądu. Zawieźli do sądu, stanąłem... Sąd tak, jak u nas, w Polsce: dwóch ławników i sędziego przewodniczący. Prokurator oskarża i mówi: "Ty jesteś winien. Ty masz za pazuchą na nas broń złości przeciwko Związkowi Radzieckiemu, bo agitujesz. I ty jesteś winien. Czy przy-znajesz się do winy?" Ja nie, jako to się nie przyznaję, ja prze-cież nie wiedziałem o przepisach sowieckich, że tu nie można się odkazać, nie mieć swojego głosu. A on mówi: "Niewiedomością o prze-pisach nie można się tłumaczyć". Ja poprosiłem, po rosyjsku władam dobrze i w słowie, i w piśmie, poprosiłem, że ja chcę zapytać pro-kuratora. Sędzia podniósł łeb i mówi, że "możno". Ja mówię: "Wy jes-teście prokuratorem, uczony człowiek, potraficie oskarżać, powiedz-cie mi, czy wy znacie przepisy karne Japonii?" A prokurator: "Mnie na co to?" "W takim razie - mówię - na co było mi znać prze-pisy karne Związku Radzieckiego? Jak ja byłem w Polsce, wiedział swo-je przepisy i wszystko było wolno. Czy ja wiem, jakie tu przepisy? Czy ja mam studiować wasze przepisy? Nie czuję się winny, proszę mi-nie uwolnić". Nastąpiła, tego, spoglądają na siebie, a prokura-tor wstał: "My osudim cię bez ciebie". Odwieźli mnie jak bałwa-na, znów pod tą plandeką, do więzienia wsadzili. Po jakimś czasie

przysyłają orzeczenie. Ale to było orzeczenie aż z Moskwy. "Dziesięć lat trudowych łagierej pod strażą". Zabrali mnie do roboty. W łagrze nie było dużo Polaków przy pracach. Nie przypominam, ile tam było, ale chyba niewielu, bo część, to przyjęli te, a część poszła do armii.

Kiedy mnie osądzono, choć zaocznie, "osoboje sowieszczanije", przywskłali "dziesięć lat łagierów pracy przymusowej pod strażą", no to chodziłem na roboty. Były różne roboty, przeważnie budowlane, ale były i kopalniane, tylko tak w tych karagandyjskich łagrach... Karaganda - tam nie było takich głębokich kopalń węgla, meter ziemi odrzucisz i zaraz węgiel jest. Do diabła tego węgla było, tak, że pakować, kopać... Kopali my, jakoś tak mnie się składało, że ja dużo węgla nie kopał, ale ładował i przewoził to. Tak, że ludziom niektórym było i ciężko. A jeśli chodzi o roboty, to zawsze wyprowadzali na roboty nie tak blisko, ale i dalej. Nie tu, gdzie się zamieszkuje, pod domem, tylko i dalej; to przeprowadzali nas z psami. A przyprowadziwszy nas do pracy obstawiali, pokazali, gdzie trzeba się załatwiać, pokazali, gdzie co trzeba zrobić, "dzisiaj nie można wydalić ani na krok od tego..." No i tak oto się pracowało, czysto prawie jak więzienia. Czasem bywali prace i lżejsze, jakoś mnie się udawało po tych budowach, po tych kopalniach... Nareszcie kiedyś zrobili mnie stróżem ogrodów warzywnych, gdzie przeważnie kobiety miały pracę. I trzeba było tam nimi pokierować. No i tam była jedna bardzo dobra rzecz, chociaż łagier. Trzeba przypomnieć, co ja bardzo lubiłem, ja całe życie lubię słodocze, a tam właśnie arbuzy... i tak jak dojrzeją to aż pięknie, aż tłuszczyć się z niej wyleje... Nnie wolno tak było najeść się tego, ale ja, kiedy dozorowałem, chodziłem, jak pracują, postawili mnie na takiego, bo ja miałem, jakoś władzę, tego, to ja byłem syty tych arbuzów. Potem, po tych kopalniach węgla, po tych arbuzach, wszystko się kończy, to przenieśli mnie do magazynów zbożowych jako robotnik~~ów~~wa. Tam zboża wysypują, młócą i wysypują na plac. Plac jest



wymieciony, duży płac, jakiś hektar ziemi, na tym hektarze są kopce, maszyna przywozi zboże i na ten kopiec wysypuje, podobnie jak u nas kartofle sypią do kopca. Długi i wysokości meter na środku i taki długi pas. Ale że ziarno od razu wywożone jest niesuche, to jego dosuszają, więc szuflują, w jedną stronę szuflują, w drugą stronę szuflują... i tak, aż wyschnie. I nie nakrywają, na zimę się nie nakrywa. Pada na to deszcz, pada na to śnieg. Ale na wiosnę tylko na jedne dwa centymetry warstwę powierzchnią zdejmują i to dla inwentarza, a reszta, takie wspaniałe zboże, że od razu dawaj na mąkę, o, taka sytuacja. Ponieważ ja, jako rolnik, troszkę się na zbożu znałem, więc trzeba trafunku, że lepiej jak inni wykonywałem to. Tam Polaków było bardzo mało, w tej pracy, gdzie ja teraz. Zrobili mnie robotnikiem przy magazynach. Ja przy magazynach pracowałem i tak dokładnie, że władze mnie polubili. A jest taka tam sprawa, że niższa warstwa robotników pracuje, a starszyzna wszystka - tylko łapać. Otóż tak się zrobiło, że jakoś potrafiłem, mój był taki szczęśliwy los, że ja przy tych zasypaniach zbóż, przy przyjmowaniu tych zbóż, pracowałem przy ładunku, przy magazynach i przy suszarniach tych zbóż, ot, takie popadłe miejsce... No i tutaj się zdarzyło po pewnym czasie, zdarzyło się, że magazynier został zwolniony. I trzeba trafunku, że na czele wybrali mnie magazynierem, z uwagi na moją sposobność i znanstwo, kiedy te zboże czyste, kiedy one suche... Ja znałem to, bo ja rolnik z zawodu byłem. Ja to przyjmowałem. Przyjmowałem, się rozumie, solidnie, sumiennie, kiedy przywozili, to przyjmowałem... W magazynie jest kotuch i w tym kotuchu, jest szereg kotuchów, jest korytarz i po stronach obu kotuchy i w każdym kotuchu po piętnaście i po dwadzieścia ton, i trzeba to wszystko... Ponieważ ja dobrze uważałem po rosyjsku i jakoś to tej starszyźnie tam podobało, a starszyzna to jest taka...

Jeszcze tam było co... przeważnie słoneczniki... tych słonecz-

ników, dwadzieścia ton słoneczników tylko w tym magazynie było. Więc jak tu trzeba przystępować do tych władz, jakie oni uczciwe, te władze, to proszę zauważyć, robotnik, jakby ukradł garść czego, łagier albo paka; oni zaś, urzędnicy sami zabierają, diabli wiedzą co im potrzeba a czasem i nie potrzeba... Kiedy przejąłem ten obowiązek magazyniera i przyjmowałem, to wpierw, przy tamtym magazynie, jak on to robił i ja tak musiałem robić, a więc w jakimś magazynie, w kotuchu musiałem skombinować, żeby zasypać więcej zboża. Dlaczego? - Bo potem jak ktoś ukradnie czego, musi być nadwyżka, bo inaczej zabraknie. Tam i niedobrze jak jest nadwyżka, i niedobrze jak zabraknie, pilnują tego. A mnie zawierzyli to, kiedy przyjechał na kontrolę pułkownik Drozdowski; "Polak? Nazwisko polskie..." Spod Łomży, rodzina tam miała majątek. W tamtą wojnę światową on do Rosji wyjechał i tam w stopniu pułkownika pozostał. Jak usłyszałem "Drozdowski", a on do mnie po polsku mówi. Po zbadaniu; a na każdym magazynie jest na każdym kojcu jest napisane jakiego procentu jest zboże, jaka suchość, jaka ilość, jaka przydatność zboża... Ja w magazynie z własnej inicjatywy ze starych worków kazałem robotnikowi drugiemu poszyć, tego, napełnił słomą jako wycieraczkę, żeby... Szedł do magazynu, to ten pułkownik Drozdowski mówił: "To jest prządnie, o, tak powinno być". Dalej mówił: "Dwa lata tu byłem - porusku mówi - na kontroli, to co widziałem, bałagan, a teraz to dobrze". No i wskutek tego starszyzna ta odnosiła się do mnie dobrze. Przychodzi małżonka jednego urzędnika z walizką po pestki słonecznikowe, przynosi mnie, magazynierowi, prezencik mały, czekoladkę czy cukierka, później tak samo, od samego Drozdowskiego przyjechał, bo on mieszkał w sąsiednim, znaczy w głównych barakach mieszkał; a sam przychodzi, a u nich wszystko na papierku musi być, a więc do magazyniera: "Wydać mu dwa metry pastewnej zboża, odpadów pastewnych od maszyny na



karmę dla inwentarza, oni mieli krowę. Ja daję jemu, służącemu daję, a on mówi: "Takie zboże, ja nie przyjmę, śmiech, ja nie przyjmę ja od pułkownika przyjechał. Dawaj mnie czystego ziarna, dobrego". Ja mówię, że ja nie mogę. "Masz dać". "A jak cię na drodze zatrzyma ją jak będziesz jechał tam, do kwatery?" "Nikt mnie nie zaczepi, furman pułkownika ma drogę wolną". Wobec tego ja mu daję czystej pszenicy, a pułkownik znów z daleka mówi: "O, to wspaniały magazynier". No, w międzyczasie przyszli, tyle pracy i tego... Było mnie trochę lżej ze względu na znajomości. Tych urzędników naprawdę ja musiałem ich obsługiwać, siłą rzeczy nieuczciwie. Ale za to byłem lubiany u nich i zawierzony, doszło do tego... Pewnego czasu przyszła wiadomość - wysyłają mnie w daleki etap. Przedtem jeszcze, przepraszam, powiem, jak wyszło takie zarządzenie, że jak kto ma wracać do Polski, chce ubiegać się o powrót do Polski z Łagierów, to potrzebuje złożyć podanie do Moskwy, do centrali, do tego... Nie pamiętam, w jakim tam był ich główny ten przywódca - do Kalinina. Dość obszernie napisałem, no i odpowiedź... Zawiadomiono mnie, że odpowiedź będzie przeczytana, ale mnie nikt nic nie przeczytał. Pewnego czasu, jakie tam stosunki jest, jaka tam jest sekretność, nie wysunąć się z wiadomością, że powiadamiają: "Zdać swój magazyn". Coś jakiegoś nadużycie popełnił, popełnił jakiegoś coś, nawet jeden mój przyjaciel tam taki, co przy moich magazynach był stróżem, mocno pobił... Ten mój przyjaciel nazywał się Bagiński, ten, co pobił, Polak, ale z Ukrainy... "Za to, mówi, Krysiewicz tak do was się odnosił uczciwie, i teraz w daleki etap... Ty go, złodzieju, wydał..." Tamten się tłumaczy, że nie. A tu przyszło - wzywają w ciągu trzech dni zdać magazyny. Jakoś szczęśliwie poszło, magazyny te zdałem w bardzo dobrym porządku. No i mam jechać do kraju. Jest nas tam, panie, paru Polaków. I jedziemy do kraju. Na razie nie wiemy, gdzie jedziemy, tylko w daleki etap. Przychodzi do mnie

naczelnik mój, Żyrakow, mówi: "Jest przykaz i was zabierają w etap. Pamiętajcie, my was polubili, wy dla nas byli dobry pracownik, i zdolny, i dobry. Weźcie na odwrotnej stronie kufajki napiszcie nasz adres i pamiętajcie, gdzie by was nie zawieźli - zaraz napiszcie do nas".

Jedzie ze mną hrabina Tarnowska, jedzie ze mną, imienia nie pamiętam, burmistrz miasta Krakowa, Bociański, jedzie, no, masa Polaków. Jadą ze mną, ale to wszystko nie wiadomo gdzie my jedziemy, czy my jedziemy do Polski, czy my jedziemy w daleki etap. Ale nareszcie jak już przyjechaliśmy, jak przekroczyliśmy, to mówią: "Pewnie jednak do Polski jedziemy". I przyjechaliśmy do Tuły. W Tule byliśmy troszkę, przez Moskwę nie przejeżdżaliśmy. Bardzo mi było przykro, jak jeden ze starszych panów mówił, że jedzie na cmentarz, że dwa drzewa posadził jak zabierali... nie wie, czy te drzewa... na mogile swojej kochanej małżonki, umarła jemu w Polsce i on chciał na tę mogiłę, tak... Niestety jechaliśmy i jego musieliśmy do rowu wydać, umarł nagle. W czasie powrotu do Polski niewiele zmarło. Były warunki już takie nie całkiem złe, nie były złe warunki, nie takie jak tam, w podróży. W podróży ciasnota, ludzie niespokojne, niepewne siebie, niepewne - gdzie będziemy i wracamy gdzie... Nareszcie, po wielkich trudach, przyjechaliśmy do Brześcia. W Brześciu do nas jedna z naszych... podróżniczek dużo było, całe wagony... wyszła na nasze powitanie matula do córki. "Mamo - mówi - choć ty jesteś tutaj, ja nie zostanę, ja dalej pojedę... gdzie?.. Nie macie pojęcia, co ja przeżyła tutaj... ja nie mogę zostać pod tą władzą... Będę jechać... Kiedy ja do Polski! Gdzie ta Polska? Niech będzie za oceanem, ale ja pojedę do Polski..." No tak...

Kiedys miałem, przed wyjazdem miałem taki sen, ale nie wiadomo kiedy, jaka data... Sen... Mnie się śniło, że ja ~~maxymowa~~ kupowałem bułkę chleba i bilet na kolej u Żyda z miasta Sokół. "Co on tu robi



w nocy?" - myślę i pytam tego Żyda, kiedy my powrócimy do domu. A on mówi: "Na Zielone Świątki będziem w domu". I ja się przecknął. I tam się pytałem, na jakieś pół roku przed tym moim wyjazdem, i pytałem, kiedy będą Zielone Świątki... I nikt nie wie, kiedy te Zielone Świątki... Ale jeden starszy pan mówi: "Ja obliczę, ja mam kalendarz, ja obliczę". On nie pracował. Obliczył i mówi: "Wycho- dzi, że w maju będzie". Teraz do Brześcia przyjechałem. Tak, jak ten Żyd, za stołem polscy oficerowie w Brześciu... Inni rozle- cieli się po mieście za tym i za owym, a ja nie, tylko stałem... Otrzymałem te... No i spotykam, tam spotykam Przybylskiego Wacła- wa, który też przyjechał, zaznajomiliśmy się z nim jeszcze na Sy- berii, znajomymi byliśmy. On bardzo był przychylny, bo mu też w pewnych sprawach pomagałem troszeczkę. No i my w tym Brześciu... pobraliśmy, tego... Ale mówię do tego Przybylskiego: "To pan je- dzie do Warszawy?" "Tak". "A ja w innym kierunku i tak - mówię - jakoś się złożyło, że, tego, ja chciałbym - mówię - żeby się spe- zniło, ten mój sen, taki miałem, że na Zielone Świątki będę..."

Wróciłem do domu 16 maja 1948 roku. Wszyscy ludzie szli, aku- rat jak raz było to w Zielone Świątki, szli do Płonki na odpust. A ja szedłem, ludzie się dziwowali, ci moi znajomi... A ja w le- sie przebrałem się, bo otrzymałem od tej polskiej misji spodnie, otrzymałem koszulę, otrzymałem dwa tysiące złotych i jakieś pan- tofle, i z tym wróciłem do domu. Wróciłem do domu akurat 16 maja 1948 roku. A tutaj zastałem wszystko bardzo zrujnowane. Dwa lata tu byli... Moja rodzina przyjechała w maju, ale czterdziestego szóstego... Jakoś tu ciężko było, ta wojna... Przyszło się już mnie... Bardzo ciężko zaczynać od nowego, z niczego... Moja mał- żonka dwie gęsi miała całego majątku, bo tu nic... Spalona wioska cała, spalone wszystko, ale jakoś tak szczęśliwie wyszło, że Pan Bóg błogosławił i kiedy za Gomułki była taka odwilż trochę, za

Gomułki, 56 rok, to ludność, pamiętając mnie, tak wiedząc, że ja nie należę do czerwonych, ale pamiętając, a była odwilż, to wybrali mnie ławnikiem sądu, wiceprzewodniczącym kolegium orzekającego, wiceprzewodniczącym komisji drogowej powiatowej, radnym powiatowym i dziękuję, że jestem potrzebnym swojej Ojczyźnie... I błogosławię Boga i Matkę Bożą Częstochowską, że mi dała powrócić i że, pomimo wielkich niepokojów, jakoś dzisiaj dożywam mając 88 lat.



Секторсанотдел Октябрьской железной дороги

Врачебная карточка о смерти

М. Подчеркнуть

19 22 VII 41.

Ж. Подчеркнуть

1. Фамилия, имя и отчество Прицавир Ольга Моисеевна

2. Возраст 1 лет II месяцев 3. Время смерти 22 VII 41.

4. Сем. состояние: хол., жен., вдов., разв., дев., замужняя

не замужняя

5. Национальность полька

6. Профессия умершего (просьба отвечать точнее и детальнее)

Профессия главы семьи (для состоящих на иждивении, \_\_\_\_\_)

сын проф. Прицавира

8. Должность умершего \_\_\_\_\_

9. Наименование школы учащегося \_\_\_\_\_

10. Адрес умершего д. Сидоровское К. Двор. ул. 10

11. Умер дома, в больнице 22 VII 41.

12. Местный житель, приезжий (подчеркнуть), если приехал то

откуда и когда \_\_\_\_\_

13. Причина смерти (по русски) туберкулез

легких. ? Опухоль

14. У кого лечился (врача, фельдшера, акушерки, знахаря, без оказания медпомощи) \_\_\_\_\_

Подпись врача Вр. Прицавир

Выполнено по слов. матери Вр. Прицавир

Protokół zdawczo-odbiorczy

Dnia 5 października 1939 r. o godz. 9 rano w lokalu Zarządu Gminy Kowalewsczyzna pow. Wysokie Mazowieckie w Jeńkach, ustępujący wójt gminy Kowalewsczyzna Lucjan Krysiewicz zam. w Waniewie, w obecności przedstawicieli Robotniczo-Włociańskiej Armii Filimonowo i Nietrebina zdał urządowanie nowowybranemu w dniu 4 października 1939 r. Przewodniczącemu Gminnego Włociańskiego Komitetu Władysławowi Kasjańskiemu zam. w Jeńkach gminy Kowalewsczyzna z następującymi przynależnościami:

- 1/ gotówkę będącą w kasie w wysokości zł. 368.- w/g. księgi kasowej,
- 2/ dwie książeczki czekowe,
- 3/ klucze kasowe w/g. księgi kontroli,
- 4/ dowody osobiste w/g. kontroli, /31 szt. czyste/
- 5/ wszystkie wyroki karne w/g. kontroli w komplecie,
- 6/ księgi ludności stałej dawne rosyjskie i nowe rejestry mieszkańców,
- 7/ księgi kasowe i podatkowe z dowodami przychodowo rozchodowymi w komplecie,
- 8/ bibliotekę gminną w/g. księgi i akta wszelkie gminne za lata ubiegłe i bieżące,
- 9/ cały majątek gminny, gm. Kowalewsczyzna w /g. księgi inwentarzowej.

Zdał:

*Lucjan Krysiewicz*  
/Lucjan Krysiewicz/

Przyjął:

*Władysław Kasjański*  
/Władysław Kasjański/

Przedstawiciele: 1/

*Filimonow*  
/Filimonow/

2/

*Nietrebina*  
/Nietrebina/

Sekretarz

*[Signature]*

*Przyjęci przez odczynnik  
Zarządu Gminy: Tarkuch - odrębny  
Wójta walczyński 5. października 1939*

*Władysław Kasjański*

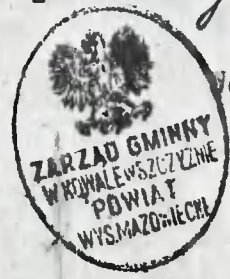


ZARZĄD GMINNY

Zaswiadczenie

L.k./36/49  
4. VII 9

Zarząd Gminny w Kowalewszczyźnie zaswiadcza, że mieszkaniec wsi Waniewo tut. gm. Ob. Krysiewicz Lucian jest repatrijantem powrucił ze Z.S.R.R. 16.V 1948r gdzie przebywał od 1939r. Pod nieobecnością wymienione<sup>go</sup>. Jego budynki gospodarcze i oddziały wojennych zostały spalone. Krysiewicz posiada i prowadzi gospodarstwo rolne i znajduje się, obecnie w trudnych warunkach materialnych, Wydano w sprawie ulgowego nabycia zelaza ( obręczy itp) potrzebnego do sporządzenia, wozu



Wojt gminy

*Kawior*



ПОЧТОВАЯ КАРТОЧКА

САРТЪ POSTALE



Куда

Город Житомир  
Возенно Телешинский  
сарак №19

Кому

Кривевиц Борислав Иванович

ПОЛЬЗУЙТЕСЬ АДРЕСНОЙ ПОЧТОВОЙ КАРТОЧКОЙ ПРИ НАВЕДЕНИИ АДРЕСНЫХ СПРАВОК

Адрес  
отправителя  
Adresse  
de l'expéditeur

Карагандинская область Волынский  
Тетюховое ОУД. пох. Шумк. № 246/А  
Кривевиц Борислав В. № 281 377





Дорогой и чинно почтенная и др. пр.

Здравствуй и здоров. Работам  
и жизни мирно. Творимы не  
охлаждаем на мои письма  
Творимы мирно сирас.  
охлажд. выезде здоровы  
Ваша пощадн.  
А. И. Лавр. 1911. Кривовен

Дорогой и чинно почтенная и др. пр.  
Здравствуй и здоров. Работам  
и жизни мирно. Творимы не  
охлаждаем на мои письма  
Творимы мирно сирас.  
охлажд. выезде здоровы  
Ваша пощадн.  
А. И. Лавр. 1911. Кривовен